

ADAM TOMCZYK

CZYTAJĄC TADEUSZA NOWAKA

W 2005 roku minęła siedemdziesiąta piąta rocznica urodzin poety i pisarza Tadeusza Nowaka, który w znakomity sposób rozślawił naszą naddunajecką równinę. Urodził się 11 XI 1930 roku w Sikorzycach. Tu spędził dzieciństwo i tutaj pobierał nauki w szkole powszechnej. Lata młodości to nauka w gimnazjum tarnowskim. Studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim (w latach 1949–54) były konsekwencją jego ogromnej wrażliwości i zachłyśnięcia się pięknem każdej rzeczy i każdego zjawiska. Rosła w nim potrzeba by to piękno opisać, wyrazić słowami. Po latach T. Nowak tak opowie o tym jak rodził się w nim poeta:

W jesienne i zimowe wieczory przy darciu pierza, przy łuskaniu grochu i kukurydzy śpiewano różne pieśni i pioseneczki stulane na podorędziu przez nieznaną z nazwiska ludzi. Wyciskały łzy z oczu, sprawiały, że ciaśniej przytulano się do siebie, przypominały o miłości i zdradzie, o czasach pańszczyźnianych, o wędrownkach dalekich za chlebem, o żołnierzach-tułaczach, o bitwach wielkich za ojczyznę, i nikt się nie zastanawiał, jak to się stało, że znalazły się na ustach, w pamięci [...] Zapragnąłem być takim bezimiennym układaczem pieśni. Nie wiedziałem jak to uczynić, bo przecież nie wiedziałem ani o rymie, ani o rytmie, a tym bardziej o porównaniu, o metaforze i tylu ważnych przy pisaniu wierszy zasadach. Nie dawałem jednak za wygraną. Uciekałem, poczynając od wiosny do jesieni w pola, w łąki, nad Dunajec i zaszywając się w zboża, w trawy, w zieloną wiklinę, szeptałem im ubogie, dziecinne słowa o matce, o ojcu, o jabłonce kwitnącej w maju, o moim świecie, którego w żaden sposób nie mogłem pojąć i oswoić dla siebie.

Świat dziecinny to świat ciągłego poznawania, przypisywania cech i wartości. Odłożony na półkę niepamięci, po latach powraca jako reminiscencje przeżyć, które bezwiednie kształtują naszą duszę i tworzą hierarchię wartości. Zadajemy sobie pytania o korzenie, a w odpowiedzi pomaga nam literatura. T. Nowak nie szukał inspiracji dla swojej twórczości w poznawaniu nowych pejzaży obcych krajów o bogatej kulturze i tradycji. Podglebie jego utworów stanowiła mała ojczyzna oparta o czyste wody rzeki, zamknięta na horyzoncie klamrą lasu.

W niej nasiąkał filozofią i moralnością prostego ludu, czerpaną z półbaśni, legend, opowiadań i wiary prostej aż po grób dziecinnej. Poezja Tadeusza Nowaka nasączona jest pełnią odniesień biblijnych, baśniowych i motywów czerpanych z tradycji wiejskiej. Jego poezja wypływa z baśniowego widzenia świata oczami dziecka, a przedstawiona za pomocą symboli i motywów staje się duchowym życiorysem poety. Pomiedzy poezją, a twórczością prozatorską odnajdujemy różnicę tylko w braku rytmu i rymu, poza tym to owoce tej samej wrażliwości przetworzone przez te same klucze dziwności, wyobrażeń i zaklęć. Twórczość T. Nowaka jest mi bliska z wielu powodów, głównie, dlatego, że urodziłem się i wychowałem

w sąsiedztwie rodzinnej wsi poety. W dzieciństwie czerpałem te same wzorce, świat poznawałem udziwniony tymi samymi baśniami. W moich źrenicach odbijała się siwa ściana lasu i srebrna wstęga Dunajca. Żeby zrozumieć wiersz trzeba dużo wiedzieć o twórczości i pochodzeniu poety, znać dzieje, ale czasem wystarczy być tylko z jednego plemienia, czyli pić mleko tej samej jutrzni, kąpać się w tej samej rzece, trzymać serce na uwięzi strachu zasłuchany w opowieści dziadków, budzić się ze snu pachnącego sianem w otoczeniu tego samego krajobrazu. Wystarczy tyle, a może aż tyle, by wyobraźnia zobaczyła obrazy rzeczywiste, by odczucia poety nas poruszyły. Choć czasem trudno określić, co jest nutą realizmu, a co półbaśniowym przetworzeniem wyobrażeń z dzieciństwa, to jesteśmy w klimatach tak bardzo nam znanych, a bohaterom jego utworów możemy przypisać tożsamość zachowań, wspólnych nam wartości, postrzegania świata, uczuć i emocji. Często wracam do wiersza *Ojczyzna* T. Nowaka. Ten hymn wypływa z zauroczenia poety jej pięknem i z żalu, że bezpowrotnie odeszła ta z dzieciństwa. Ale

Niechże przez chwilę będzie tak jak było
W tej wielkiej baśni krążącej nade mną
(T. Nowak *Ojczyzna*).

Bo

Chciałbym być znowu małym chłopcem
W cudzym ogrodzie wiśnie rwać
Z Dunajca wodę nosić skopcem
Krzyczeć w dudniącą nocy kadź
(T. Nowak *O świcie*).

W dzień, gdy iskrzy się pogoda, a przejrzyste powietrze, gdy spłynie już z nieba mleko jutrzni, pozwala nam mieszkańcom ujścia Dunajca dojrzeć szczyty gór, z których zbiega ku nam Ojczyzna. W każdej strofie tego wiersza odnajduję ja, mieszkańiec tej równiny, świat którego już nie ma. Wieś, której ostatnie obrazy odeszły w latach, gdy byłem dzieckiem, Tadeusz Nowak o pokolenie starszy miał jeszcze czas by ją dogłębnie poznać, wchłonać, tymi obrazami się nasycić. Tym większy jego żal po utraconym raj, ale jakże pięknie oddaje nam to w swojej twórczości. Ojczyzna w wierszu to okolice jego dzieciennych lat, zamknięta w horyzontu koło pod kopułą nieba. Jej obrazy jawią się jak wielka baśń. Odnajdujemy w niej te same typy zawiadackich zachowań

„w czapce na bakier w rozpiętym kozuchu”

i znój życia związanego z naturą, wyznaczanego porą roku, dnia.

Sierpień złoci się zbożem wśród pól, na których odbywa się teatr pracy – misterium chleba. Żniwa, w czasach gdzie kosiarka konna była rzadkością, miały coś z obrzędu. Kosa była powszechnym narzędziem. Gospodarz siadał w cieniu lipy otulonej wonią miodu i niosła się muzyka klepanych kos, kos nawołujących się jak sygnaturka na nabożeństwo żniwa. Z namaszczeniem przystępowano do pierwszego pokosu. Żniwa były jak modlitwa, wspólną pracą całej rodziny. Krajobraz sierpnia to stojące na żółtych ścierniskach dziesiątki zżętego zboża i skrzypiące drabiniaste wozy w obłokach kurzu na polnych drogach.

Czytając wiersz odnajdujemy ten sam bukiet zapachów i przynależną im symfonię dźwięków. Była taka wieś, gdzie w senne południe pachnące przydeptanym rumiankiem,

rozerwanym kminem polnym, przecierała skronie zbudzona porykiwaniem krów wracających z błonia i skrzypieniem żurawia, czerpiącego wodę wlewaną do kamiennych koryt. W ciepłe noce lata na pastwisku pały się spętane konie. Noc cicha, wtulona w łąki o brzegach porośniętych głógiem i tarniną, rozjaśniona ogniskami żarzącymi się z wysuszonego nawozu. Iskry lecące z rozżagwionych puszek, miotanych wkoło nad głową czepiały się kół Wielkiego Wozu, jadącego na zachód szerokim gościńcem nieba. Nieopodal pastwiska stała siwa, tajemnicza ściana lasu, jakby naturalnie zamykająca widnokrąg. Las był dla dzieci tajemnicą wyczarowaną z opowieści dziwnych i strachliwych. Dane nam było w czerwcu otrzeć się o nią przy zbieraniu jagód, czy przy zwożeniu zakupionych u leśniczego sagów drewna na opał i gonnej, mocnej żerdzi na pawąz do zwożenia siana. Obejmował nas brązowo-złoty cień lasu. Zanurzaliśmy się w miedzianej kadzi pachnącej żywicą, której miodowe sople uwięziły w sobie promienie wiślanej zorzy. Były to wyprawy rzadkie, długo oczekiwane, wyprawy w świat odległy, baśniowy, z którego przywoziło się zapach igliwia i pełne zanadze kłujących szyszek.

Rdzawa rzeczka, rodząca się w cieniu śródleśnej paproci, zbierała wody z rowów, przecinających piaszczyste podłoże lasu. Jej żywiczna barwa, dopełniona bejcą butwiejących w jej pierwotnych dopływach dębowych liści, połyskiwała w upalnym słońcu lata kusząco spoglądając z wybujałej zieleni. Ta płytka rzeczka, leniwie płynąca po piaszczystym, rudym dnie obrośnięta po brzegach koloniami traw różnych, w których stacjonowały całe eskadry różnokolorowych ważek, rozdzielała szeroki pas łąk. Te dochodzące do jej prawego brzegu należały do wsi naddunajeckich. Łąki z jej lewego brzegu, należały do wsi wtulonej w objęcia lasu.

Podmokłe łąki podszyte chłodnym wilgotnym mchem były gęsto zarośnięte wielością odmian turzycy falującej kosmatą mgiełką żółci i płomieniem jasnego brązu. Miejscami wybujałe kępami sitowia i trzcin wśród morza traw niesione jak okręt przez żółte żagle kosaćców. Różowe główki koniczyny wabiły roje pszczół, a ścieżką i trawiastą dróżką, gdzie jeszcze wozy nie wybiły kolein, maszerowały kolumnami całe bataliony stokrotek. W odwodzie stały obozem szeregi łąkowej rzeżuchy, całe w gronach różowych kwiatów. Oczy raziła, jakby rozbłyśnięte wśród zieleni słońce, gromada jaskrów, ale uspokajał nas fiolet i błękit dzwinków. Zachłyśnięci widokiem, w narkotycznej woni ziół, siadaliśmy na skarpie rowu w towarzystwie margerytek patrzących na nas pluszowym okiem okolonym rzęsą białych płatków, z których dziewczęta robiły wróżbę

„Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje”.

Margerytki, zwane ze swojska ślepkami, rwane u nasady długich łodyg, stanowiły główny motyw wiarek witych z potrzeby romantycznej natury dziewczyn. Nieuważnie rozgnieciona poziomka oznajmiała zapachem swój smak słodkości wygrzanej w słońcu. Ten różnokolorowy kobierzec, spleciony czepiowymi łodyżkami kwitnącej wyki, był jak wielki plaster miodu odciętego od lasu i płachty pół uprawnych, klingą rzeczki, miodu o smaku jeszcze wegetatywnym i polnym, ale już czambuły pszczół odurzone jego słodką wonią unoszą do swoich aułów złote monstrancje, patery i kielichy pełne wielokwiatowego nektaru.

Gdy wracaliśmy z lasu z dzbankami pełnymi jagód przykrytych listowiem cieniejszej paproci, odpoczywaliśmy wśród stepów. By ugasić pragnienie żuliśmy młode, soczyste pędy szczawiu, a kąpiel w rzeczce dodawała nam sił na dalszą drogę powrotu. Rozglądając się wokoło szukaliśmy kolein, zagłębień od kół Dakoty, tak uciążliwie startującej z tych

łąk w lipcu 1944 roku, z częściami rakiety V-2. Zmysłami wyobraźni czuliśmy ten pełen napięcia i niepokoju pośpiech, wśród trwożliwych nawoływań uczestników akcji „III Most”. I gdy kolanka traw już dawno się wyprostowały, zarastając bujnie wszystkie ślady tej nocnej kampanii, to pamięć wciąż ożywiała te chwile w opowieściach naszych ojców. To bohaterstwo napełniło ich dumą na długie lata, że w czasie okupacji, również ich stać było na odwagę, by zrobić coś ważnego dla Ojczyzny.

Teraz wśród tych łąk uwijali się mieszkańcy śródleśnych wsi, kosząc prostokąty traw. Nazywaliśmy ich swaty. Jako dziecko wierzyłem, że to ludzie z innego plemienia i obcej mowy. Oni pierwsi porzucili kosę na rzecz kosiarki konnej. Konie mieli mocne, wielkie, pociągowe, aby przez bezdrożne stopy zwozić siano na wozach załadowanych obszernie i wysoko, związane mocnym pawężem.

Gdy razu pewnego usłyszałem ich mowę i o dziwo w moim języku, pękła ta wielka bania baśni, w której tkwiłem, a widnokrąg mój zaczął się rozrastać. Już nie był tam gdzie purpurową kołdrą zakrywało się słońce. Krajobraz naddunajeckiej równiny, okolice kilku wsi przycupniętych do lewego brzegu Dunajca, ten świat dla dziecka wielki, niezmierny, nieobeszły, stawał się mały i ciasny. Teraz wiem, że ten nowy, szeroki, poznawany wywołał tylko ciekawość i sycił poczucie piękna. Nie miał nic z udziwnienia, z tego nieokreślonego misterium strachu, budowania kolejnych pięter baśniowych wyobrażeń.

Niedziela – dzień poświęcony Bogu i czas odpoczynku. Popołudniową porą gospodarze krokiem wolnym, dostojnym, ubrani odświętnie, szli na swoje pola oglądać zboże, czy dobrze się wykłosiło, czy trawy gotowe do koszenia, czy żyto już dojrzało. Młodzi chłopcy w tym dniu skwarnym jechali konno na oklep do Dunajca, bo niedziela to dzień pławienia koni. Wody rzeki były przejrzyste, czyste. Dno Dunajca w miejscach spokojnych, piaszczyste, białe, a w nurcie żwirowe, kolorowe.

Wyflukane owalne kamyki mieniły się jak oczy ryby, a wysuszone nabierały przy pocieraniu zapachu siarki i krzemienia. Ciepłe zakola płycizn pocętkowane grzbietami małych rybek, tak gęsto, że zdawałoby się, iż to cienie listków nadbrzeżnej wikliny. Gdy cicho usiadło się na wiekowym pniu dębu wynurzającego swoją czarną paszczę ze srebrnej wody rzeki, widać było ciemne wrzeciona ryb płynących z prądem wody. Z gór odbywał się spływ drzewa pozbijanego w tratwy. Każda wieś miała swój zjazd-rampę do wnętrzości Dunajca, z których wydzierano żwir.

Jak sięga ludzka pamięć, a za nią wieść gminna powtarza, jak podają zapiski, to najgwałtowniejsze były wylewy i powodzie lipcowe. Wody zbierane na obszarze całego dorzecza z kilkunastu deszczów, wypukających brunatny kolor ziemi, barwiły rzekę rozlaną szeroko od wału do wału. Nurt unosił kopki siana i zachochołone czubato dzieśiutki żyta. Falowały w mętnej, groźnej wodzie czubki wiotkiej wikliny i trzęsły się z zimna zatopione do pasa wystraszone topole. I gdy po deszczach na niebie żółtym kaczeńcem zakwitało słońce, wody unosiły ludzką trwogę, zakłęcia i modlitwy w dół rzeki. Stawały się na powrót czyste. Chłopcy z wiklinowymi koszami, węgierkami szukali w międzywałach stawów z uwięzionymi w nich rybami. W latach siedemdziesiątych przestały już płynąć tratwy, zakazano wybierania żwiru. Ukradziono nam rzekę. Woda stawała się szara, ołowiana. Białe łachy piaszczystych plaż przyoblekły się w muliste brudne płachty. W wodach nie odbijało się już słońce, a w jej cieniu nie przepływały już kontynenty obłoków. Nadbrzeżne łąki w niedzielne popołudnia samotnie wygrzewały się w skwarze dnia. Nikt już nie szukał ukojenia dla siebie, ani dla koni w chłodzie Dunajca.

I nadszedł dzień, gdy po naddunajeckich wsiach rozniosła się smutna wieść. Szli ludzie nad rzekę. Stali bezsilni, boleśni, oniemiałi. Krzykliwe zazwyczaj rybitwy przelatywały w tym dniu cicho zatrwożone. Ołowiane, ciemne wody rzeki zakwitły białymi płatkami zatrutych ryb. Rzeka, która była integralną częścią wsi, tak jak droga, plac, błonie, rzeka, której przebaczano wszystkie ofiary utonięć w kąpieli przed świętem Piotra i Pawła, była martwa. Sprofanowano naszą rzekę. Dunajec stał się obcy, ten, który był już bezpowrotnie odplynął. Można go jedynie przywołać, wyczarować w modlitwie psalmów.



Dom rodzinny Tadeusza Nowaka w Sikorzycach nad Dunajcem

Gdy dzień stawał się krótszy, gdy dojrzewało lato, aby wpaść w objęcia jesieni z jej długimi wieczorami, z okapu strzechy wyciągaliśmy zastraszone wróble i wrzucaliśmy je w światło izby zasłuchanej w opowieści dziadków. Oszały wróbel wstrzymywał szwadron ułanów w półgalopie i przestawało w szablach odbijać się srebrnym refleksem słońce. Trzepot jego skrzydeł zagłuszał kanonadę dział, niosącą się szeroko po malowniczych, śpiewnych nazwach miejsc na italiańskim froncie. Gdy chłodne wiatry porwały już delikatny welon babiego lata, gdy rozwiały dymy ognisk palących się na kartofliskach i przewietrzyły wieś z dymnego zapachu wędzonych śliw, nastawały pierwsze przymrozki. Siwe mrozy wyostrzyły powietrze tak, że rozrósł się horyzont od Tatr po Góry Świętokrzyskie i wówczas sady zakwitały wszystkimi odcieniami żółci i czerwieni. Drzewa pod swoje stopy zrzuciły kolorową łuskę liści. Zbieraliśmy ten kożuch, aby ogacić do wysokości okien boczne ściany domów.

Zimą przychodzili kolędnicy z Turoniem, wtedy moje oczy zapalały się pochodniami dziecięcego strachu. Chybotliwe serce szukało oparcia za plecami rodziców. Zimowa

sceneria zawieruchy, białe połacie równiny z rzędami rosochatych wierzb strzegących czarnymi jamami, po wybranych próchnie, drogi wiodącej na błonie i dalej za Kisielinę przez łąki do lasu, przywoływała obrazy wysnute z trwożliwych opowieści, a w niej echa dawnej rebelii. „Różnijcie pomału, bo to było dobre panocko” – słowa okrutne, ociekające krwią zapustów w 1846 roku, opowiedziane były w tonie legendy i półbaśni, bo tak łatwiej rozgrzeszyć się z winy ciężającej przez pokolenia.

Gdy czytam utwory T. Nowaka, to taka właśnie „zbiega do mnie z gór Ojczyzna”. Byli tacy ludzie, prości, grzeszni, umęczeni, ale nie smutni. Była taka wieś wśród sadów pachnąca rumiankiem, chlebem, dojrzałym owocem i dymem jesieni. Towarzyszące jej dźwięki podkreślały odwieczną naturę wsi. To wszystko budzi w nas coś, że „z czapką w ręce przystajemy niemi” zapatrzeni, zasłuchani, przejęci, bo „tylko nazwać nie umiemy czasem naszej Ojczyzny ukłonem do ziemi”. Ubogi byłby krajobraz poezji polskiej bez wierszy T. Nowaka. Nie jest to mój pogląd naznaczony wspólnym miejscem pochodzenia.

Jego psalmy przedstawiające świat natury i człowieka z całym bogactwem nadrealizmu są zamieszczane w każdej antologii polskiej poezji. Odwołując się do znawcy polskiej literatury współczesnej Piotra Kuncewicza, przytoczę jego ocenę:

Propozycja literacka i kulturowa Nowaka należy do najwybitniejszych i najciekawszych ofert współczesnej polszczyzny. Będę jeszcze pisał i to niemało o „nurcie wiejskim”, ale już teraz byliśmy na jego szczycie.

Nasza równina spałaby wtulona w objęcia Dunajca, nieożywiona uczuciem poety, nieopisana w literaturze. Cała jego twórczość jest nazwaniem naszej Ojczyzny, w każdym jej szczególe od źdźbła trawy i mysiego pisku poprzez rzekę, las, zorze i jutrznie do wydarzeń historycznych, tych już baśniowych, plemiennych, owianych legendą, po dzieje obu wojen naznaczone setkami grobów wzdłuż Dunajca. Z takiej Ojczyzny wywodzi swoich bohaterów, tak bardzo zatopionych w jej przesądach, obrzędach i tradycji, że stanowią organiczną całość, czyni to w sposób artystycznie znakomity. Odwoływanie się do baśni, pieśni, snów i przywidzeń sprawia, iż jego poezje możemy odczytywać ciągle na nowo. Jego utwory prozatorskie zbudowane są z dwóch warstw, warstwy realnej i tej mitycznej, baśniowej, udziwnionej, ale wywodzącej się z prastarej niekiedy obrzędowości i tradycji. Odnajdujemy w nich elementy okrucieństwa i czarów naznaczone świętym nastrojem strachu. Gdy Tadeusz Nowak zmarł w 1991 roku miał już zasłużenie ugruntowaną pozycję poety i pisarza nurtu wiejskiego w polskiej literaturze. Boli śmierć tak wczesna człowieka, artysty, patrioty. Z pewnością wiele miał nam jeszcze do powiedzenia. Był królem słowa. Sprawił, że ten nurt poezji wywodzącej się z tradycji i kultury ludowej, chłopskiej wszedł do kanonu literatury narodowej, za sprawą mistrzowskiego operowania środkami wyrazu, słowem i nastrojem. Twórczość T. Nowaka jest najniższym ukłonem do ziemi, ziemi naszej małej Ojczyzny.